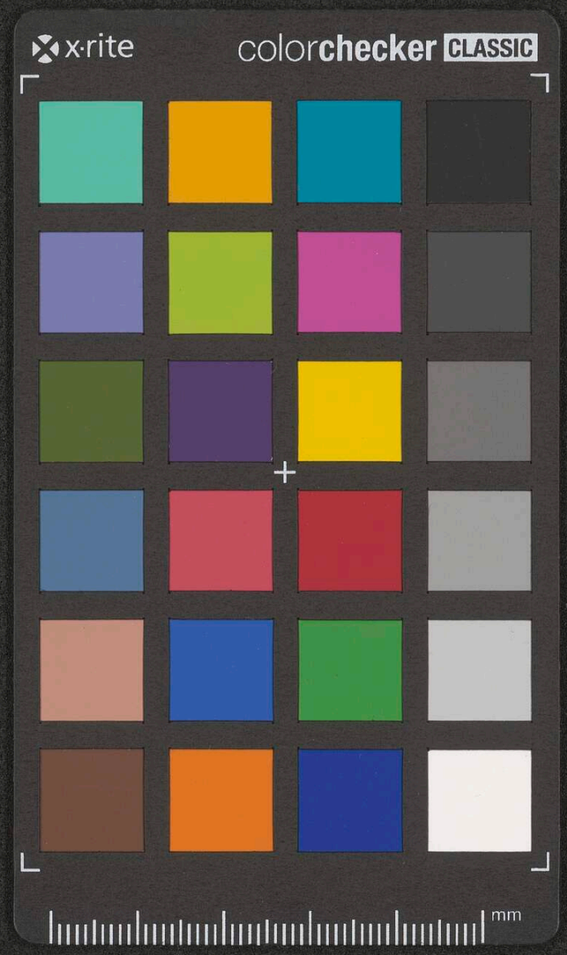
I. J. PADEREWSKI



Szopen

M/2214



Wł. Maliszewski
Gniadosze.
Fond. Orzeszkowej
Romans Chopinaki
Wodnem Cieleniu
Zmarnowane.

MUZEUM WARSZAWA
M/2214

M/2214





(*Delacroix* pinx)

I. J. PADEREWSKI

SZOPEN

WARSZAWA
1926

M/2214

NAKŁADEM CZASOPISMA „MUZYKA"

DRUK. M. S. WOJSK

ZEBRALIŚMY się tutaj dla uczczenia pamięci jednego z największych synów naszej polskiej ziemi. Jak niedawno, w Krakowie, w jasne niezapomniane dni lipcowe składaliśmy hołd dziękczynny wielkim przodkom, co nam zbudowali Ojczyznę, tak dziś temu, co ją wzbogacił i przedziwnie upiększył, przynosimy w miłosnej ofierze wdzięczność i cześć. A czynimy to nietylko przez ukochanie przeszłości pamiątek, nietylko w poczuciu słusznej plemiennej dumy, nietylko dlatego, że w lechickich piersiach naszych drzemią wciąż jeszcze niewygasłe szczątki zamierzchłych wierzeń, których najpiękniejszą cząstką było, jest i będzie święcenie ojców pamięci, lecz w przeświadczeniu zarazem głębokiem, że z tego uroczystego świata wyjdziemy silniejsi na duchu, pokrzepieni na sercach. A pokrzepienia, otuchy złaknieni jesteśmy bardzo. Grom za gromem uderza w naród znękany, cios spada po ciosie; nie lęku, lecz zgrozy dreszcze całą wstrząsają Ojczyzną. Nowe formy życia, które przyjść musiały, przyjść powinny, obudziły się u nas, śród nocy mar strasznych. Wraz ze zdrowem ziarnem powiało na nas tumanem plewy i pośladu; z jasnym płomieniem wszechludzkiej jakoby sprawiedliwości, przyszły i kłęby ciemnego, kopcącego

M/2214

dymu; z lekkiem tchnieniem wolności przybyły i fale trującego powietrza i ciężą nad nami boleśnie. W sercach nieład uczuć, w umysłach pojęć zamęt. Uczą nas szacunku dla obcych, a pogardy dla swoich. Każą nam miłować wszystkich, choćby ludożerce, a nienawidzieć ojców i braci, za to, że nie gorzej może, lecz inaczej tylko myślą. Chcą nas wyzuć zupełnie z rasowego instynktu, cały pokoleń dorobek i dobytek oddać na pastwę nieokreślonej przyszłości, na łup chaosowi, którego potworne kształty lada godzina ukazać się mogą ponad tonią czasu. W odwieczną budowę świątyni narodu, której potężne wrogów ramiona zburzyć nie zdołały, biją dziś już młoty bratnią kierowane ręką: dla nowych gmachów pono naszych tylko gruzów potrzeba, jak gdyby owych budowniczych na własną nie stać było cegłę. Nad białoskrzydlnym, niezmazanym, nad najczcigodniejszym Ojczyzny symbolem kraczą kruki i wrony, chichocą obce a złowrogie puszczyki, urągają mu nawet swojskie, zacietrzewione orlęta. „Precz z Polską" — wołają—„niech żyje ludzkość"! Jak gdyby życie ludzkości ze śmierci narodów powstać mogło!... W takich to czasach rozterki i zamętu myśl nasza zwraca się ku przeszłości i trwożna zapytuje: Ażaliż wszystko co było, potępienia i pogardy godne? Ażaliż tylko to, co jest, co będzie, lub co być może, warte posłuchu i wiary? Odpowiedź nie trudna. Oto w tej chwili unosi się wśród nas a nad nami jasny duch jednego z tych, co byli. Ileż w nim światła, dzielności a mocy! Ileż w nim wysiłku, pracy, a cierpienia! Toć on znojnym trudem, ciężką, twórczą pracą, a w serdecznym bólu, na chwałę ojczyzny ślad swego zaznaczył istnienia. Toć on bezkrwawym bojem, na niwach pokoju, zapewnił zwycięstwo polskiej myśli. Toć on nie „działami w kwiatach ukrytemi", ale dziełami okrytemi kwieciem najcudniejszem świat cały zdobył dla Polski. O wielka, święta przeszłości, któraś go wydała, bądź błogosławiona!

— — — — — — — — — — — — —

Utarło się już takie mniemanie, że sztuka jest kosmopolityczna. Jak wiele rzeczy, które się utarły, tak i to jest przesądem. Tylko to, co sam rozum człowieka tworzy, tylko nauka nie zna granic ojczyzny. Sztuka a nawet filozofja, jak wszystko, co pochodzi z głębin duszy ludzkiej, co powstaje z zespołu uczucia z rozumem, musi nosić cechy plemienne, musi mieć narodowe piętno. Jeżeli zaś muzyka jest ze wszystkich sztuk najdostępniejszą, to nie dlatego, iżby miała być kosmopolityczną, lecz że jest z natury swej k o s m i c z n ą. Muzyka jedna jest istotnie żywą sztuką. Pierwiastki jej, wibracje, drgania, to pierwiastki życia. Cicha a dosłyszalna, potężna a niepoznana jest ona wszędzie, gdzie jest życie. Ona się łączy

M/2214

z wód szumem, z wiatrów powiewami, z lasów szmerem; ona jest w żywiołowych ziemi przewrotach, w ruchu planet potężnym, w ukrytych a zaciętych atomów walkach; ona jest w światłach i barwach, co olśniewają lub koją nasze oczy; ona jest w krwi naszej krążeniach, w namiętności naszych porywów, w bólach naszych serdecznych... Ona jest wszędzie i sięga dalej i wyżej, niż słowo ludzkie sięgnąć może; ona się wznosi ku nadziemskim sferom czystego niebotycznego uczucia. Energja wszechświata brzmi nieustannie, brzmi nieskończenie wśród przestrzeni i czasu. Jej objawienie, rytm — z prawa Bożego pilnuje porządku, utrzymuje ład światów. Melodje Boga płyną nieprzerwanie po gwiazdnych obszarach, po mlecznych drogach, po światach, zaświatach, po ludzkich i nadludzkich dziedzinach, tworząc ten zespół cudny, wiekuisty: harmonję wszechbytu. Powstają ludzie i narody, gwiazdy, słońca, światy, by brzmieć, by dźwięczeć, a gdy ucichną, życie ich gaśnie. Wszystko gra, śpiewa, mówi. Wszystko tylko własnym ruchem, własnym głosem, i mową własną. Mówi, gra, śpiewa i narodu dusza, a jak? słyszymy w Szopenie... Muzyka ludzka jest tylko fragmentem muzyki wiecznej. W jej formach, myślą i ręką człowieka stworzonych, zachodzą częste przeobrażenia. Czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają, myśli, uczucia coraz to inne przywdziewają szaty. Synowie niechętnie

uchylają czoła przed tem, co było ich ojców — podziwu i zachwytu przedmiotem. Każdemu nowemu pokoleniu, w zaraniu życia zwłaszcza, w godzinach marzeń i pragnień, upojeń i porywów młodości zdaje się, że ono tylko pcha ludzkość ku nieznanym wyżynom, na nowe kieruje je tory, że ono jest tylko powołane do wielkich myśli, do wielkich czynów i do dzieł wielkich. Każde pokolenie pragnie mieć piękno własne. To też powstają dzieła sztuki, w tym poczęte duchu, powstają, by usłużyć potrzebom chwili, powstają i trwają niekiedy krócej, niż ich twórcy. Ale powstają i inne, które trwają dłużej, z których po latach wielu widnieje jeszcze znamię pokoleń kilku, znamię epoki i ideału, co jej przyświecał. A są jeszcze i takie, zawsze młodością silne, zawsze szczerością świeże, z których się wciąż odzywa głos pokoleń wszystkich, głos rasy całej i głos ziemi, co je wydała. Żaden z narodów na świecie nie może się poszczycić takiem, jak nasz, bogactwem uczuć i nastrojów. Na harfę narodu naciągnęła ręka Boża strun bezmiar cichych i rzewnych, potężnych i głośnych. Mamy i miękkość kochania i dzielność czynu, i liryzm, szeroką płynący falą, i siłę rycerską, waleczną; mamy i tęsknotę dziewiczą i męską rozwagę, i smutek tragiczny starca, i lekkomyślną młodzieńca wesołość. Może w tem tkwi czar nasz ujmujący, a może też to i wada wielka! Zmiany następują szybko, bezpośrednio prawie:

M/2214

od radosnych upojeń do żałosnych szlochań, od szczytnych porywów do upadków ducha dzieli nas często jeden krok tylko, jedno oka mgnienie. Widzimy tego dowody we wszystkich dziedzinach narodowego życia: w politycznych wypadkach, w społecznych przemianach, w pracy twórczej, w codziennym trudzie, w towarzyskich stosunkach, w osobistych sprawach... Wszędzie. wszędzie. Może to tylko taka przyrodzona właściwość, ale w porównaniu z innymi, sytymi, szczęśliwymi narodami wygląda to raczej na niedomaganie. A jeżeli to niedomaganie, to nazwać je można wrodzoną narodową a r y t m j ą. Z te to arytmji pochodzi zapewne przypisywana nam niestałość i niemoc wytrwania; w niej to należy szukać źródła naszej rzeczywistej niestety nieudolności do karnego, zbiorowego działania. W tej to arytmji niewątpliwie tkwi i naszych dziejów tragizm nieszczęsny. Ani jeden z tych wielkich, którym Opatrzność poleciła duszy polskiej objawienie, nie zdołał tej arytmji dać takiego silnego, jak Szopen, wyrazu. Oni byli poetami. Ich krępowała jasność pojęć, ścisłość słowa, bo nawet nasza mowa, tak dziwnie piękna i bogata, wypowiedzieć wszystkiego nie jest w stanie. On był muzykiem. A muzyka, tylko jego muzyka, mogła oddać tę falistość naszych uczuć, tę ich rozlewność aż w nieskończoność i to ich aż do bohaterstwa skupienie, te szału porywy, co, zda się, skały skruszą, i tę

niemoc zwątpienia, w której i myśl się mroczy i chęć do czynu zamiera. Tylko w tej muzyce tkliwej a burzliwej, cichej a namiętnej, rzewnej a mocnej i groźnej, w tej muzyce, co się rada wymyka od dyscypliny metrycznej, co się uchyla od karności rytmu, co nie znosi metronomu, jak znienawidzonego rządu, w tej muzyce słyszy się, czuje, poznaje, że naród nasz, ziemia nasza, że cała Polska żyje, czuje, działa: „i n t e m p o r u b a t o". Dlaczegoż w Szopenie właśnie ozwała się tak silnie dusza narodu, dlaczego z jego serca głos rasy naszej, jak zdrój kryształowy z głębin ziemi niezbadanych, wytrysnął potężny, ożywczy, przeczysty? Spytajmy o to Tego, który „łono tajemnic odmyka"... On nam nie wszystko jeszcze powiedział i bodaj że nigdy wszystkiego nie powie... Zwyczajny „krwi polskiej" słuchacz, z wielką sztuką muzyczną nieoswojony, arcydzieł Bacha, Mozarta, Beethovena słucha niechętnie, czasem niecierpliwie. Kunsztowna wielogłosowość, bogactwo przeróżnych dźwiękowych powikłań, jasne dla wyćwiczonego umysłu, niedostępne dla jego ucha. Myśl jego się gubi w misternych fugach, uwaga się błąka i rozprasza wśród marmurowych kształtów pięknej, lecz germańskiej sonaty, w przedziwnych gmachach klasycznej symfonji zimno mu jakoś i nieswojsko, jak w obcym kościele; prometeuszowego bólu największego z muzyków świata on odczuć nie potrafi. Ale niech się tylko

M/2214

odezwą szopenowskie dźwięki, nasz słuchacz krwi polskiej zmienia się odrazu. Słuch się natęża, uwaga skupia, oko błyszczy jaśniej, krew szybciej krąży: raduje się serce, choć i łzy spadają na lica. Czy to tańce rodzinnego Mazowsza, czy tęskne Nokturny, czy dziarskie Ziemi Krakowskiej odgłosy, czy tajemne Preludja, czy zamaszyste Polonezy, czy żywiołowe, a przedziwne Etiudy, czy burzliwe a epickie Ballady, czy też bohaterskie Sonaty, — on wszystko rozumie, odczuwa wszystko, bo wszystko to jego, p o l s k i e. Rodzime powietrze owiewa jego istotę, swojski przed nim roztacza się krajobraz. Pod niewyraźnym smutnego nieba błękitem — szerokie ojczystej ziemi równiny, sina wstęga lasów, pola uprawne, żyzne łany, ugory, piaski ubogie... U stóp łagodnych pagórków — zielone łąk niziny, od których pod wieczór mroczne, tajemnic pełne idą opary. Szemrze woda ruczajów, szepcą płaczliwe rzadkie brzozy i wierzby liście, wiatr muska wierzchołki topól wyniosłe, porusza zieloną jeszcze falę kłosów żyta i pszenicy, a od borów sędziwych idzie woń zdrowa, żywiczna... Twory prastarej przodków wyobraźni zdają się napełniać tę przyrodę, obumarłych bóstw postacie powstają wskrzeszone, mitologja cała wśród wiosennej nocy budzi się znowu do życia. Scherzo! Niby jakieś bogów i bożków, bogiń i boginek mocarne krotochwile. Po łąkach i polach wiją

się przeróżne dziwy. W gęstych zaroślach mocują się wilkołaki. Igrają figlarne chochliki. Lubeczki i miłosteńki krążą w pląsach zalotnych, to znów otaczają kołem bogiń królowę, naszą miłości królowę, Dziedzilię, aby pieśni jej posłuchać, pieśni, co się dobywa z piersi rozwartej, z której widnieje kochaniem wezbrane serce całe — serce Polski. Czasem odwieczny Perun się odezwie i zagrzmi, ponuro, groźnie, uroczyście. Drżą święte gaje, spłoszone rusałki znikają z powierzchni jeziora. A oto niebo płonie od błyskawic ognia. Wicher się zerwał straszliwy i pędzi, i goni, i niszczy, i łamie... Śród burzy odmętu runęły sklepienia tak ongi dumnej i władnej Derwidów świątnicy... Słucha nasz Polak. Tchnienie lata na ojców ziemi ogarnia jego duszę. Złote morze pszenicy gdzieś wyschło. Zboże już w snopach i kopach, spoczęły sierpy. Fruwają lekkie przepiórki i poważniejsze kuropatwy, badając skrzętnie zasobne jeszcze rżysko. Od pieśni żniwiarnych drżą jeszcze powietrzne fale: z łęgów i pastwisk dochodzi odgłos fujarki pastuszej. W wiejskiej opodal gospodzie raźno i gwarno. Grają zręcznie skrzypki, grają od ucha; potrącając często o tę swojską, plemienną zwiększoną kwartę, wtóruje im uparcie pedał prostaczej basetli, a lud nasz tańczy żwawo, zamaszyście, lub śpiewa zwolna z zadumą, ten lud nasz zdrowy a kapryśny, wesoły a przepojony tęsknotą. W ko-

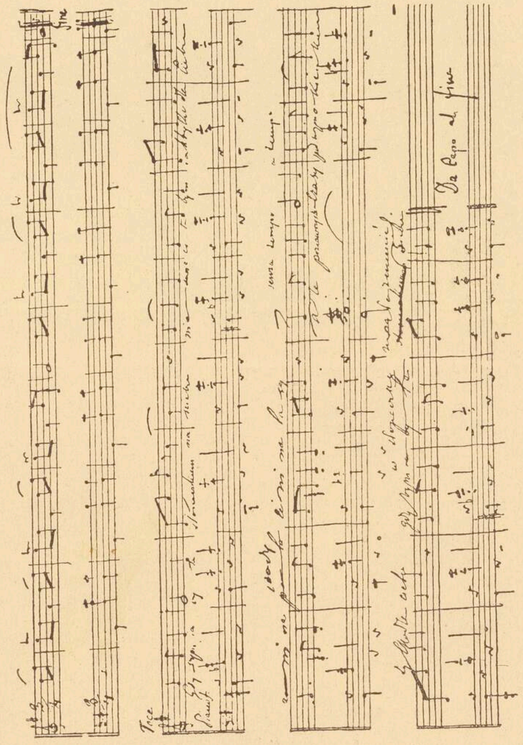
M/2214

ściółku grają ubogie organy... Tuż niedaleko, w dworze okazałym, żarzą się światła po komnatach. Szlachty dostojnej, snać po sejmiku, tłum barwny, lśniący. Zabrzmiała kapela. Pan podkomorzy, a może ktoś godniejszy, co z wieku i urzędu to mu się należy, poloneza poczyna. Brzęczą karabele, szeleszczą wzorzyste materje i purpurowe kontuszów wyloty. Posuwistym krokiem idą dumne pary. Ku pięknym oczom, ku licom gładkim, staropolskiej mowy płyną słowa gładkie, męską łaciną z gęsta przeplatane. Czasem ktos nieśmiało francuzczyzną zatrąci... A gdy skończyli, starzec siwowłosy o długiej brodzie, o srebrzystym głosie, przy dźwiękach gęśli, dudarza, przy lutni i harf wtórze, jakąś zamierzchłą baśń opowiada. Mówi o Lechu, Kraku, Popielu; o Balladynie, Wenedzie, Grażynie; prawi o zamorskich krajach, o włoskiem niebie, o świetnych turniejach, trubadurów pieśniach; śpiewa o białym Orle i o bratniej Pogoni, o zwycięskich walkach i bitwach przegranych, o bojach sławnych, wielkich, nieśmiertelnych, choć nieskończonych, nierozstrzygniętych... Wszyscy go słuchają, wszyscy rozumieją... Podczas gdy w ogrodzie, wśród woni róż, jaśminu, lilii westchnień czystych, pobłażliwego lip starych poszeptu, przy gwiaździstym nokturnie urocza kasztelanka smętnemu młodzianowi czyni miłosne nocy letniej zwierzenia... Minęło już lato i lata minęły. Minęły sławne pan

cernych rycerzy pochody, opadły skrzydła nieustraszonych husarzy, co pruli zwycięsko morskie Bałtyku fale, ułanów przemężne szarże zakuły się w śpiżowe narodowej chwały wspomnienie... Jesień nadeszła. Preludja jakby Epilogi! Czy to jesień życia? Nie. To życie jesieni. Dni już krótsze, światła skąpiej, mniej już pogody i wesela. Choć czasem, gdy słońce całym zajaśnieje blaskiem, od bogactwa barw niezrównanych oderwać się trudno, znać już przewagę mroków, ciemności. Staroświecki zegar, co dziadom, pradziadom, lepsze mierzył czasy, wybija teraz poważnie późną, nocną godzinę. Wiatr wyje ponuro w pustkę komina. Słychać miarowe krople jesiennego deszczu, słychać spadanie zwiędłych na ziemię liści i osieroconych gałęzi szmer po nich żałosny. Na starych cmentarzach, na dawnych kurhanach i uroczyskach latają widma, upiory, snują się posępne duchów korowody. Jakież to widma, upiory? Duchyż to czyje? Ażaliż to Żółkiewski, Czarniecki? Ażaliż to Bogusław, Janusz Radziwiłłowie, Radziejowski? Czy to nie ta szlachetna i dziś mimo wszelkie nieszczęścia—wzniosła, świetlana, jasna, jasnogórska postać? Czy to nie Siciński? A może to Rejtan, a może nieszczęsnej Targowicy marszałek Szczęsny? Może Bartosz Głowacki? A może i Szela?... O nie! Oni do historji należą, a historja to czcigodna, a wybredna strażniczka, co wprawdzie, stojąc u progu wieczności, wpuszcza do przybytku

M/2214

zarówno złych, jak i dobrych, lecz samych tylko wielkich. Ta zaś muzyka to cząstka wieczności samej i w niej się wszyscy mieszczą: wielcy i mali, możni i ubodzy, sławni i bezimienni, wszyscy, tylko wyjęci z wad, przywar i zbrodni ziemskiej powłoki, skąpani w zdroju najczyściejszej duszy, upiększeni, uszlachetnieni. Bo Szopen upiększał, uszlachetniał wszystko. On odkrył w głębi ziemi polskiej najdroższe kamienie, on z nich uczynił najcenniejsze skarbnicy naszej klejnoty. On, bodaj że najpierwszy, nadał chłopu polskiemu najponętniejsze szlachectwo, bo szlachectwo piękna. On wprowadził chłopka naszego w świat szeroki, wielki, na zamkowe przepychem lśniące sale, on postawił go obok dumnego wojewody, obok sławnego wodza sielskiego postawił pastuszka, obok możnowładnej pani wydziedziczoną umieścił sierotę, on poeta, czarodziej, potężny z ducha monarcha zrównał wszystkie stany, nie tu na poziomie, na codziennego życia nizinach, lecz hen wysoko, na najwynioślejszych szczytach uczucia. Tak Polak słucha Szopena. Tak słucha on rasy swej całej wielkiego głosu. Od cichej, słodkiej, świetlanej, powiewnej kołysanki począwszy, aż do tych dwu sonat groźnych i mocnych, jakby z bohaterskiego kruszcu ukutych—to cała skala jego i jego narodu życia... On widzi siebie niemowlęciem, jak mu nad kołyską w dzień słoneczny, upalny, przygrywa orkie-



Autograf Szopena

M/2214

stra motyli, jak mu skrzętny rój pszczółek brzęczy miodowo, jak mu chór ptasząt świergoce po cichu, by nie obudzić uśpionego... On widzi swe dzieciństwo sielskie, anielskie, swoją młodość górną i chmurną, swój wiek męski, wiek klęski... A oto i zima. Z wichrów poświstem przyszły śnieżyce i całą Ojczyznę białą pokryły martwotą. Oto i kres jego żywota: koniec już marzeń, walk i cierpień. Na posępnym wozie dom jego ostatni, ciasny, ubogi... Ku otwartemu łonu macierzystej ziemi wiozą jego szczątki doczesne, a w tej ostatniej na sen wieczny wędrówce przygrywają mu jeszcze potężne a ponure archaniołów trąby... Słucha Polak i roni łzy czyste, rzęsiste. Tak my wszyscy słuchamy. Bo i jakże go słuchać inaczej, tego z Bożej mocy piewcy polskiego narodu?...

— — — — — — — — — — — — —

Szopen przyszedł na świat już po dokonaniu troistego nad naszą Ojczyzną mordu. Na niebie Europy świeciła wówczas w całej pełni gwiazda Napoleona,ta gwiazda, z której jasne smugi nadziei miały jeszcze w Polsce długie przetrwać lata. Dzieciństwo jego zeszło wśród względnych swobód ówczesnego Królestwa, wykrojonego jak serce z żywego ciała narodu. Już się zanosiło na tę gwałtowną nawałnicę, która całą dawną Polską wstrząsnąć miała, gdy Szopen kraj żegnał na zawsze. Odjechał, ale nie sam. Wywiózł ze sobą to, co Mickiewicz gdzieś jako „genius loci" określa,

M/2214

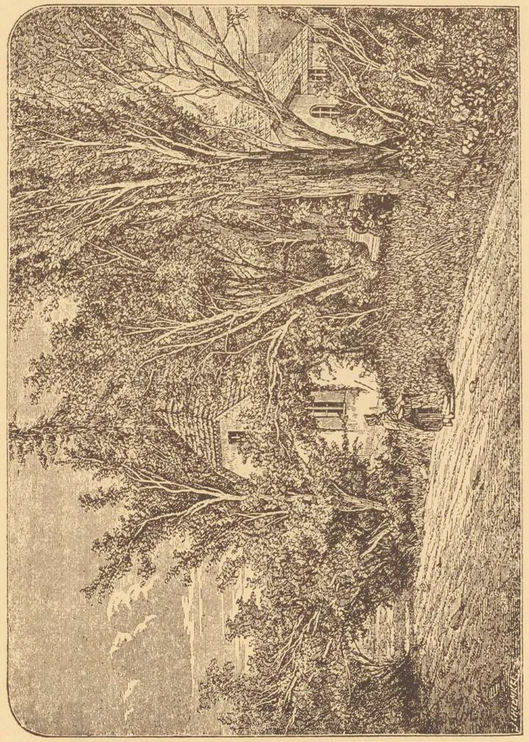
a cobyśmy chętnie: „genius patriae" nazwali, wywiózł ducha ziemi ojczystej, który nie opuścił go aż do zgonu. Temu też możemy zawdzięczać, że go nam, choć nie brakło chęci, nie zrabowano... Nawet przez ojca spokrewniona z nim Francja, nie myśli się zdobić w jego sławy promienie. Nie dlatego, że monarchów nikt o krew nie pyta, że duchy królewskie z berłem i koroną przyjmują serc podwładnych narodowość, lecz, że w szopenowskiej, tajemnej, głębokiej, uczuciowej, wulkanicznych wybuchów pełnej twórczości niema zgoła pierwiastków rasy francuskiej, bo nawet forma nie posiada cech dworackiej zimnej elegancji, jeno jakąś możnowładczą wytworność. Nawet ten naród liczny, mnogi, ten naród silny, a bez morza, któryby to morze chętnie ze wszystkich rzek słowiańskich wytworzył, ten naród, co nam zabrał już tyle, na Szopena nie podniósł dotychczas zaborczej ręki. Choć on Słowianin — ale taki inny. Bo jakże daleko od jego krasy, od jego czaru, od jego bogactwa barw, świateł i cieni do tej ponurej, a monotonnej, choć mądrej rosyjskiej muzy, na której licach uśmiech pogody i promień szczęścia zda się, że nigdy nie postały. Jakaż to przepaść dzieli jego tęsknotę, jego smutek, jego tragizm przygodny, od tamtej rozpaczy, co wieje na nas jak mroźny, groźny wicher od stepu bez miary, bez granic i bez nadziei... Wkrótce po wyjeździe Szopena, na ziemi jego rodzinnej, zwłaszcza w ościennych województwach ucisk zapanował — jak wiadomo — straszny; ucisk, którego bezprzykładne okrucieństwo tylko jakąś bezmyślną, dziką na niewinnych zemstą za długie jarzmo tatarskie wytłumaczyć można. Zabraniano nam wszystkiego! mowy ojców, wiary przodków, czci dla świętych przeszłości pamiątek, strojów, obyczajów, pieśni narodowych... Zabraniano nam Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Nie zabroniono nam tylko Szopena. A jednak w Szopenie tkwi wszystko, czego nam wzbraniano: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościołki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń. Przez długie lata udręczeń, męki i prześladowań, przez długie lata znękanych myśli naszych najtajniejsze nici z nim się wiązały, ku niemu się tuliły zbolałe serca nasze. Ileż on ich ukoił, pokrzepił... a może i nawrócił. Wszak on był i tym przemytnikiem, co w zwitkach nut niewinnych, rodakom po kresach rozsianym, rozwoził zakazaną polskość; wszak on był i tym kapłanem, co nas rozprószonych w święty Ojczyzny zaopatrywał sakrament. Stoi on teraz w blasku ziemskiej chwały, w nieśmiertelnych pro-

M/2214

mieniach wdzięczności narodu, cały umajony zawsze w świeże wieńce ze czci podziwu, z zachwytu i miłości uwite. Ale nie stoi sam. Genius Patriae, duch ziemi ojczystej, duch narodu nie opuszcza go, nawet po śmierci. Człowiek wielki, choćby największy, ani nad narodem, ani poza narodem być nie może. On jest z jego ziarna, jego cząstką, jego kwiatem, jego kłosem, a im większy, urodziwszy, mocniejszy, tem sercu narodu bliższy... Szopen może nie wiedział, jakim był wielkim. Ale my wiemy, że on wielki naszą wielkością, że on silny naszą siłą, że on piękny naszem pięknem. On nasz, a my jego, albowiem w nim się objawia cała nasza zbiorowa dusza. Więc krzepmy serca do wytrwania, do trwania, myśli skrójmy do czynów, do dzielnych, sprawiedliwych, uczucia podnośmy do wiary, do silnej, bo nie ginie naród, co ma taką wielką, nieśmiertelną duszę.

MOWA niniejsza wygłoszona została we Lwowie podczas uroczystego obchodu rocznicy urodzin Mistrza, który odbył się dnia 23-go października 1910 roku w Filharmonji. Zawiera ona myśli tak głębokie i żywe, tak pięknie ubrane w szatę poetyckiego krasomówstwa, że i dziś jeszcze wypada przypomnieć ją społeczeństwu, jako wzór gorącej miłości do sztuki rodzimej i szlachetnego entuzjazmu artystycznego, przedewszystkiem zaś wzniosłego patrjotyzmu. Tło, na jakiem widział Mistrz podczas swej natchnionej improwizacji, genjalną postać Szopena, zmieniło się szczęśliwie: powstała nowa, odrodzona Polska, wolna i niezależna. Ale słowa, rzucone przez Paderewskiego w epoce najcięższych gwałtów i prześladowań, zachowają na zawsze swe znaczenie historyczne, świadcząc o nieustannem i niesłabnącem ani na chwilę dążeniu naszem do wolności i niezawisłości, w którem złączyły się w uścisku ideowym postacie genjalnych przedstawicieli sztuki polskiej: wielkiego Mistrza epoki ubiegłej i najgodniejszego spadkobiercy jego ideałów i jego tradycji w czasach dzisiejszych.

M/2214



Żelazowa Wola

M/2214



Le Monument de Chopin a Varsovie
par Waclaw Szymanowski

M/2214

M/2214

M/2214



M/2214